

AUTOR

PRZYCHODZI WIECZOREM

Bator / Cegielski
Czycibor-Piotrowski / Czubaj
Ćwirlej / Fabicka
Kochan / Kofta
Kowalewski / Krajewski
Kuczok / Maślanek
Matuszkiewicz / Miłoszewski
Mizuro / Onichimowska
Piątkowska / Siedlecka
Syrwid / Wroński



antologia
jubileuszowa
na 20-lecie

Wydawnictwo
ab
two

Joanna Bator
Tadeusz Cegielski
Andrzej Czcibor-Piotrowski
Mariusz Czubaj
Ryszard Ćwirlej
Joanna Fabicka
Marek Kochan
Krystyna Kofta
Włodzimierz Kowalewski
Marek Krajewski
Wojciech Kuczok
Jarosław Maślanek
Irena Matuszkiewicz
Zygmunt Miłoszewski
Marta Mizuro
Anna Onichimowska
Monika Piątkowska
Sylvia Siedlecka
Marta Syrwid
Marcin Wroński

AUTOR

PRZYCHODZI
WIECZOREM

antologia
jubileuszowa
na 20-lecie

Wydawnictwo
ab
two

Copyright © Joanna Bator, 2012
Copyright © Tadeusz Cegielski, 2012
Copyright © Andrzej Czcibor-Piotrowski, 2012
Copyright © Mariusz Czubaj, 2012
Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2012
Copyright © Joanna Fabicka, 2012
Copyright © Marek Kochan, 2012
Copyright © Krystyna Kofta, 2012
Copyright © Włodzimierz Kowalewski, 2012
Copyright © Marek Krajewski, 2012
Copyright © Wojciech Kuczok, 2012
Copyright © Jarosław Maślanek, 2012
Copyright © Irena Matuszkiewicz, 2012
Copyright © Zygmunt Miłoszewski, 2012
Copyright © Marta Mizuro, 2012
Copyright © Anna Onichimowska, 2012
Copyright © Monika Piątkowska, 2012
Copyright © Sylwia Siedlecka, 2012
Copyright © Marta Syrwid, 2012
Copyright © Marcin Wroński, 2012
Copyright for this edition © Wydawnictwo W.A.B., 2012

Wydanie I
Warszawa 2012

Utracona powieść

Rezultat pojedynku, który właśnie stoczyłem, wydawał się przesądzony. Klęska – i to wyłącznie z własnej winy! Zawierzyłem zbyt wiele mocy zdroworozsądkowych argumentów; za słabo poruszyłem emocje. Zanadto zaufałem swoim retorycznym talentom. Co gorsza, zlekceważyłem zalecenie autorów programu, by sprowadzić do studia swoje audytorium – wszystkich, którzy zechcieliby wysłuchać tego, co miałem do powiedzenia. Joanna i Fryderyk to siły zbyt skromne, by w końcowej dyskusji dać odpór dużej i karnej grupie dowodzonej przez doktora K. Nie mogłem, niestety, liczyć na sympatyczne i urodziwe Białorusinki siedzące w pierwszym rzędzie po mej prawicy – mocno onieśmiałone sytuacją. Tym bardziej na kilkanaście przypadkowych osób, którymi w ostatniej chwili wypełniono puste miejsca po „mojej” stronie widowni.

Studenci doktora K. kolejno zabierali głos. Nie, nie żeby czytali z kartki. Ale czuło się, że kwestie mieli wyuczone na pamięć. To, co powiedzieli, wyraźnie rozmijało się z tematem – za to zgodne było z poglądami doktora K. oraz nauczaniem ich uczelni. Mój adwersarz sprawiał wrażenie zadowolonego; podobnie asystujący mu ksiądz S. Byli pewni, że zwycięstwo mają w kieszeni.

Prowadzący, redaktor P., udzielił teraz głosu Joannie, potem Fryderykowi. Prościej niż ja sam przedstawili ko-

rzyści płynące z tolerancji. Akceptacji odmienności kulturowych i religijnych, odmienności i różnorodności jako takich. Lewa strona audytorium nie słuchała, podobnie jak prowadzący. Ten pilnował głównie, aby eksponować własną rolę w programie. Redaktor P. wykonał efektowny piruet, wskoczył na stopnie amfiteatru od strony studenckiej i oznajmił:

– A teraz głosowanie, drodzy państwo! Kto zwyciężył w naszej debacie, w konfrontacji dwóch zasad i idei? W pojedynku wolności z poprawnością, siły z anarchią, woli z permissywizmem! Czy zwyciężcą jest...

– Chwileczkę, panie redaktorze! – przerwał mu starszy mężczyzna siedzący pośród młodzieży. – Stanowczo do-praszam się głosu!

W istocie, siwy pan w kurtce czekał dotąd cierpliwie z wyciągniętą ręką... Teraz zaś podniósł się; niewysoki, nie-pozorny.

Prowadzący wykonał kolejny piruet i skierował mikrofon ku niemu.

– Baaardzo proszę! Ma pan trzydzieści sekund na wypowiedź.

Starszy pan wzruszył ramionami.

– Wystarczy mi dwadzieścia. Chciałem jedynie zauważyć, że nikt spośród wypowiadających się tu adwersarzy profesora – wskazał na mnie – nie ustosunkował się do przedstawionych przez niego racji. Nie uczynił tego również doktor K. Trudno tu mówić o jakiejś debacie.

– Doprawdy? – zdziwił się prowadzący. – Zaskakująca opinia! Kto jest tego samego zdania, co pan tu... w jasnej kurtce? Proszę podnieść rękę!

O dziwo, także w szeregach szkoły doktora K. uniosło się kilka rąk. Zapewne przez nieuwagę.

Prowadzący ocenił to widać podobnie, gdyż zawołał:

– Proszę państwa o uwagę! Powtarzam pytanie...

Tym razem co najmniej kilkanaście osób zgodziło się ze starszym panem. Doktor K. wraz z księdzem S. notowali wzrokiem niesubordynowanych. Nie mieli łatwego zadania – w panującym po ich stronie ścisku nie było widać, czyja ręka jest czyja. Zmagania woli z anarchią dalekie były od rozstrzygnięcia.

Obróciłem się ku mojemu stronnictwu: Fryderyk był pozornie obojętny, a Joanna wyraźnie rozbawiona. Gdy prowadzący zarządził głosowanie, triumf na twarzy Joanny i lekki uśmiech na ustach Fryderyka mówiły, że wynik nie jest zgodny z oczekiwaniami.

Mniej więcej połowa audytorium uznała, że debatę wygrał mój polemista, doktor K. Ten wraz z księdzem S. zaczął liczyć głosy po swojej stronie – zapewne po to, by wyłowić zdrajców we własnych szeregach. Czas przecież naglił; gospodarz programu musiał zarządzić ostatecznie głosowanie.

– Kto z państwa uważa, że w debacie zwyciężył profesor Jan Pasterz?

Podniosło się wiele rąk, znacznie więcej niż przy poprzednim głosowaniu. Poparcia udzieliły mi Białorusinki, a nawet kilka osób spośród „przypadkowej” publiczności. Wydawało się jednak, że starszy pan, którego interwencja tak wpłynęła na losy debaty, teraz powstrzymał się od głosu. Nie było jednak wątpliwości co do innej sprawy: część studentów doktora K. zagłosowała dwukrotnie. Najpierw za, potem zaś przeciw swojemu mentorowi. Ogólna wesołość, która wyparła atmosferę napięcia, stanowiła nieoczekiwany finał debaty.

Redaktor P. z trudem krył niezadowolenie.

– Przebieg naszej dyskusji i wynik głosowania dowodzą, że trudno uznać sprawę za zamkniętą. Dlatego do kwestii tolerancji i anarchii w życiu publicznym wrócimy jeszcze w przyszłości – oznajmił. – Dziękuję państwu za uwagę,

a wszystkim w studiu za udział w programie „Trzeba pomyśleć”. Dobranoc i do zobaczenia za miesiąc!

Zgasły czerwone lampki kamer. Po chwili zgasły też reflektory w studiu na Woronicza. Podszedłem do Joanny i Fryderyka, rozglądając się równocześnie za panem w jasnej kurtce. Ten jednak szybko zmieszał się z wychodzącymi i zniknął nam z oczu.

W holu przy wyjściu czekał ksiądz S. w asyście swego kierowcy.

– Chętnie podwoję państwa do domu, jeśli nie macie, oczywiście, innego transportu – powiedział, wskazując na czarnego mercedesa parkującego naprzeciw schodów.

Podziękowałem grzecznie w imieniu naszej trójki i wskazałem jakiegoś starego malucha w głębi parkingu. S. uśmiechnął się z wyrazem zrozumienia.

Postąpiłem, jak się za chwilę okazało, słusznie. Kiedy ksiądz zniknął nam z oczu, przed budynkiem pojawił się starszy pan w jasnej kurtce.

– Czekałem na pana, profesorze – oznajmił. – Nie byłem jednak pewien, czy zechce mi pan poświęcić chwilę... widzę, że nie jest pan sam, może więc innym razem...

Wyglądał na emerytowanego nauczyciela lub urzędnika pośledniej rangi. Popelinowa kurtka była znoszona i słabo chroniła przed chłodem jesiennego wieczoru. Za proponowałem nieznanemu taksówkę. Odmówił, ale też postanowił wykorzystać czas, jaki pozostał do jej przyjazdu. Ruszyliśmy więc w stronę głównej bramy, a starszy pan przedstawił się:

– Nazywam się Morawiec, Jan Krzysztof Morawiec. Wiem, że moje nazwisko niewiele panu powie. Jeśli jednak przypomnę panu, że kiedyś mieliśmy okazję się spotkać... Było to z górą czterdzieści lat temu; po tak długim czasie nie rozpoznałibyśmy się zapewne. Dlatego przyszedłem tu

dziś; przyszedłem, by upewnić się, że się nie pomyliłem, że pan to pan...

Tu wtrąciła się przysłuchująca się nam Joanna:

– Jednak mój mąż to swoisty fenomen. Niewiele się zmienił od tamtego czasu. No, może nieco przytył, ale też nigdy nie był zbyt szczupły.

– Dobrych dwadzieścia kilogramów – doprecyzowałem.

– Ale zostawmy już mój wygląd. Proszę wreszcie przypomnieć, w jakich to okolicznościach się poznaliśmy.

– W Wojewódzkim Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk – oznajmił Jan Krzysztof Morawiec.

– Wielkie nieba! To pan był cenzorem! Ale przecież nie pan uwalił nasz program „Szef kuchni poleca seks”?! Spec od kultury studenckiej, który to zrobił, był młody! Ktoś nie mał w moim wieku!

– Tamten, polonista z wykształcenia, nazywał się Kona-rzewski.

– W rzeczy samej! Pastwiąc się nad naszym scenariuszem, nieustannie podkreślał, że tekst jest bardzo zabawny, tylko że... A on jako polonista chętnie pomoże. Podpowie, jak przerobić scenariusz tak, by dostał zgodę...

– Został zwolniony do rozpowszechniania – poprawił mnie eksenczor. – To nie to samo.

Nie interesowała mnie egzegeza formalna cenzorskich praktyk. Powiedziałem:

– Wkurzał mnie cynizm tego, jak pan mówi, Kona-rzewskiego. Bardziej jeszcze fałszywie koleżeński, na prawdę zaś protekcyjnalny ton, jakim się do mnie zwracał: „Ten numer jest rzeczywiście dobry; obśmiałem się jak norka, czytając. Tylko, kolego, dlaczego oni wykonują pieśń pionierów koreańskich? A nie mogliby to być angielscy skauci lub choćby nawet harcerze?”. Wtedy nie byłoby to śmieszne, odpowiadałem. I w końcu zabrałem mu maszynopis. Kabaret miał próbę generalną i na tym

musiał zakończyć się jego żywot. Szkoda, bo był bardzo na czasie...

– Wszystko to działo się dość nieformalnie – wyjaśnił pan Morawiec. – Mieliśmy zasadę, by przyjmować tekst do cenzury dopiero po naszych uwagach. Wtedy nie było w nim śladów ingerencji, nie było tym samym cenzury. Jedność moralna partii z narodem utrzymana. Zachowana autonomia studencka...

– I wszyscy byli szczęśliwi – dopowiedziałem. Wspominając ów studencki kabaret – był początek 1971 roku i nowy, gierkowski, reżim aż prosił się o satyryczny komentarz – odnalazłem w lamusie pamięci mojego rozmówcę! Ale nie w tym przełomowym roku. Nie wtedy go spotkałem. Musiało to być kilka lat później... Kiedy konkretnie? Oczywiście wtedy, gdy złożyłem u wydawcy swoją powieść! Debiutancki tekst... Mój Boże, co stało się z tą powieścią?

Ekscenzor przyglądał mi się uważnie. Domyślił się, że wiem już, z kim mam do czynienia. Jednak nie dałem mu satysfakcji. Nie byłem też ciekaw jego opowieści. Książka była kiepska; po czterdziestu latach nie było czego wspominać. Dobrze się stało, jak się stało.

Nadjechała wreszcie taksówka i szybko się pożegnaliśmy. Jan Krzysztof Morawiec wcisnął mi do ręki karteczkę z numerem telefonu. Zgubiłem ją jeszcze w wozie, szukając drobnych po kieszeniach. Jednak sprawa tamtej, „niezwolnionej” do druku, książki odżyła niespodziewanie w pamięci. Opublikowałem właśnie powieść – powód zaproszenia mnie do programu. Po nieudanej próbie z siedemdziesiątego szóstego roku zarzuciłem literaturę. Tak, datę „1976” szybko sobie przypomniałem. Także z powodu tego, co działo się w moim prywatnym świecie.

Zapragnąłem przeczytać swój debiutancki tekst. Bez względu na to, co był wart jako literatura, stanowił kroni-

karski niemal zapis ważnych dla mnie wydarzeń. Był powieścią z kluczem, czytelną również dla ludzi takich, jak ten Konarzewski. Dlatego podpaść musiał cenzurze. Pomyślałem ponieważ, że Jan Krzysztof Morawiec z urzędu na Mysiej należał – wraz z wydawcą – do grona mych pierwszych, najważniejszych i chyba też jedynych czytelników! Chcąc nie chcąc, powierzyłem cenzorowi ważne dla mnie, trudne i intymne sprawy. Podobnej satysfakcji nie dałem już więcej nikomu...

Nie miało to już dziś znaczenia. Chciałem tylko odzyskać z pomocą zapomnianej powieści czas całkiem niemal zatarty. Liczący dobrych trzysta stron maszynopis zaginął podczas jednej z wielu przeprowadzek. Spółdzielnia wydawnicza Sojusz, która zainteresowała się zrazu tekstem, zbankrutowała na początku lat dziewięćdziesiątych. Pamiętałem jednak, że różne fragmenty rękopisu zdeponowałem w domu rodziców na Starym Mieście. Obecnie przemieszkiwał tam mój młodszy brat, Fryderyk, więc korzystając z jego bytności w Warszawie, umówiłem się na poszukiwanie szarej tekturowej teczki opatrzonej etykietą: *Różne literackie*. 1976.

Fryderyk czekał na mnie, wymachując triumfalnie teczką, którą bez trudu odnalazł w swym świetnie zorganizowanym archiwum.

– Mam nadzieję, że nie pogniewasz się za to, iż zajrzałem już do tego skarbu...

– I co?

Skrzywił się.

– Niewiele tego, może trzydzieści stron rękopisu, dla mnie nieczytelnego. I drugie tyle w maszynopisie, z odręcznymi poprawkami. Ten fragment tylko przejrzałem; nie miałem czasu na dokładną lekturę. Razem jedna szóstka, może jedna piąta całości, jeśli w istocie liczyła tych trzysta stron znormalizowanego tekstu.

– Dokładnie trzysta siedem plus spis rozdziałów.

– To, co zostało, na pewno ci się przyda. Po latach ma wartość dokumentu, lecz tylko dokumentu.

– Wiem: typowe juvenilia, płód niedojrzały, nieforemny! – uprzedziłem dalszą krytykę. Nie spodobało mi się to, że zaglądał do rękopisu; tym bardziej nie życzyłem sobie jego recenzji.

– Nie chciałem cię urazić – powiedział pojednawczo. – A jeśli kiedyś uporządkujesz to wszystko, daj mi, proszę, do przeczytania. Jest tam przecież mowa i o mnie, to po pierwsze. Po drugie, znalazłem naprawdę ciekawy ustęp: opis intrygi, której ofiarą stał się narrator... jak rozumiem, twoje alter ego.

– Więc jednak czytałeś, nie tylko przeglądałeś!

– Naprawdę tylko kilka stron. Nie miałem czasu na więcej.

Choć czekało na mnie mnóstwo pracy, pozwoliłem sobie ulec pokusie. Otworzyłem teczkę i przeczytałem wszystko jak leci. Potem zabrałem się do układania skrawków powieści w sensowną całość. Całość nową, bo plan utworu zaginął. Pozostała za to starannie wykaligrafowana strona tytułowa: *Panika w mieście*. Ów tytuł, w pełni adekwatny do treści, wzbudził zastrzeżenia cenzora Morawca. Zgodziłem się, by „panikę” zastąpić bardziej neutralnym „skandalem”. Debiutancka powieść miała więc nosić tytuł *Skandal w mieście*. Miasto to rodzinny Kraków, choć opisane wypadki mogły się zdarzyć w każdym innym miejscu.

Na tym skończyły się moje ustępstwa. Bronilem charakterystyki głównej postaci, dziennikarza Stefana Grodyńskiego. Ten, podobnie jak ja sam, był dygnitarskim synalkiem – trochę zdemoralizowanym, trochę zbuntowanym. Wmieszanym w jakieś afery na wysokim szczeblu; w dodatku uwikłanym w związek z dwiema kobietami, siostrami Weroniką i Michaliną. Cenzor Morawiec uparł się, by